



1975 r. Autor wypływa z Dakaru w samotny rejs w roli dobrowolnego rozbitka FOT. ARCHIWUM AUTORA

Oceaniczne dramaty

może utonąć. Krańcowo wyczerpanego uratowali rybacy brazylijscy. Po miesięcznej rekonwalescencji w szpitalu w Belem trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie za swój heroizm król Jerzy VI odznaczył go Medalem Imperium Brytyjskiego, a Royal Navy wykorzystwała jego zapiski do szkolenia marynarzy na wypadek konieczności przetrwania po utracie okrętu. W 1949 r. Lim wyemigrował do USA, gdzie stał się celebrytą.

W 1962 r. zniknął w otchłani oceanu statek z wyspy Tonga, a 17 ocalałych z katastrofy osób znalazło schronienie we wraku na pobliskiej rafie. Po trzech miesiącach trzy z nich wypłynęły na zaimprovizowanej tratwie, by po tygodniu dotrzeć do wyspy Kadavu, skąd pośpieszono na ratunek. Trzy lata później miał miejsce inny wypadek. Dwóch Polinezyjczyków z wyspy Bora-Bora po awarii silnika znalazło się na łasce oceanu. Łowili ryby na haczyk zrobiony z nożyczek, a dzięki obfitym deszczom mieli wodę pitną. Jeden z nich zmarł z wycieńczenia, a drugi, po 155 dniach dryfowania, wylądował na wyspie Pago Pago.

Znany jest przypadek dwóch dezertów z Legii Cudzoziemskiej, którzy na tratwie, bez żywności, spędzili 32 dni na Morzu Południowochińskim. Nie utracili woli życia, wierząc, że ktoś ich znajdzie. Ratunek nadszedł, gdy byli już u kresu sił fizycznych.

TYLKO KOMPAS

Podczas mojej żeglugi nie posiadałem sekstantu ani łączności ze światem zewnętrznym czy GPS, którego wtedy jeszcze nie było – miałem jedynie kompas. Pozycję zliczoną obliczałem, biorąc pod uwagę prędkość ocenioną na oko, znos pod wpływem prądu i dryf uzależniony od oddziaływania wiatru. Oczywiście wszystko to było orientacyjne. Zabrałem ze sobą tylko skromny, żelazny zapas wody i żywności, dlatego musiałem korzystać z tego, co ofiarował ocean. Zbierałem deszczówkę, łowiłem ryby oraz plankton siatką z muślinu. Nieraz wpadały do łodzi latające ryby, co zaowocowało sashimi. One nie tylko zaspokajały głód, lecz także pocięte na kawałki i przeżute były źródłem bezcennego płynu.

Bezmiar oceanu napawał przepychem i grozą, pozbawiał poczucia przestrzeni i czasu. Będąc sam pośród



Jacek Pałkiewicz

W 1975 r. pokonałem samotnie Atlantyk. Chciałem pokazać tym, którzy kiedykolwiek staną się rozbitkami, że można pokonać swoje słabości i ocalić życie

Trudne czasy kształtują silnych ludzi, a mocni mężczyźni tworzą dobre czasy, dobre czasy zaś rodzą słabych, a byle jacy tworzą ciężkie czasy. Dobrobyt produkuje wygodników, a nie bojowników życia. Dopiero kiedy odczujemy dumę ze zwycięstwa przewidzianego tylko dla tych, którzy są gotowi zapłacić za nie odpowiednią cenę, będziemy mogli zaznaczyć własną wartość. W 1975 r. postanowiłem przepłynąć ocean w roli dobrowolnego rozbitka. Miałem spore doświadczenie żeglarskie i dwa lata pracy na statkach handlowych po tym, jak pomyślnie jako ekstern zdałem przed komisją morską Konsulatu Generalnego Liberii w Genui egzamin na licencję drugiego oficera pokładowego.

Mój samotny rejs miał dodać wiary i ufności ofiarom katastrof morskich oraz udowodnić, że mają szansę uratowania, pod warunkiem że się nie poddadzą i potrafią stawić czoła ekstremalnej sytuacji. Drewnianą, pięciometrową łódź ratunkową,

której od stuleci używano do tego celu, znalazłem w jednej ze stoczní złomowych w La Spezia. Nie miałem być pierwszy, bo w historii żeglugi trafiali się już ludzie, którzy mierząc się ze swoimi słabościami, siłami przyrody i wizją śmierci, potrafili wygrać z ograniczeniami, które narzucały im żywioł morski i własny organizm.

W 1942 r. w ciągu kilku minut zginął z oczu na Atlantyku trafiony dwoma torpedami niemieckiego U-boota brytyjski frachtowiec s/s „Ben Lemon”. Spośród 53 członków załogi uratował się tylko chiński steward Poon Lim. Spędził 133 dni na tratwie ratunkowej o powierzchni 2,5 mkw., na której były kilka puszek sucharów, 40-litrowy zbiornik z wodą, nieco czekolady, worek cukru w kostkach i kilka rac świetlnych. Kiedy zabrało zapasów, zaczął łąpać deszczówkę w płócienny daszek i łowił ryby na hak zrobiony z gwoźdźcia. Wprawdzie ocean nie złamał jego ducha, ale też nieumiejący pływać rozbitek żył w ciągłym strachu, że

zniewalającej pustki i obserwując jej nie- skończoność, doznawałem intensywnych przeżyć. Wysuwałem wnioski: aby coś odkryć, ktoś inny wcześniej musiał to stworzyć. Idealnie zaplanować, wykreować piękno oraz znakomitą funkcjonalność wszechświata i tak skomplikowaną istotę, którą jest mieszkaniec Ziemi. Człowiek, zastanawiając się nad swoją egzystencją, kwestionuje nieraz Boga, bo pogubił się w Piśmie Świętym. Nawet wśród apostołów zdarzały się chwile zwątpienia czy nawet niewiary. Tomasz za „głosem zdrowego rozsądku” domagał się namacalnych dowodów Zmartwychwstania Jezusa, a i Piotr na początku wyparł się Jezusa. To Jezus powiedział: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. Samotność na oceanie przemawia do wyobraźni, przekonuje o świadectwie Bożej kreatywności, źródle wszelkiego życia i energii oraz bezspornie wzmacnia wiarę w Najwyższego. Wcale się nie dziwię, że Isaac Newton miał zwyczaj za każdym razem, gdy usłyszał słowo „Bóg”, sięgać czapkę.

NIEBEZPIECZNE ORKI

Podczas żeglugi nie brak było chwil napawających grozą. Wspominam dzień, kiedy obok mnie pojawiło się stado dłuższych od mojej szalupy orki z rodziny delfinowatych. Mimo że cieszą się opinią stworzeń towarzyskich, co widoczne jest w delfinariach, te największe drapieżniki oceanów były niejednokrotnie powodem dramatów żeglarskich. W 1972 r. staranowały, po prostu dla zabawy, jacht „Guia III” włoskiego magnata stalowego Giorgia Falck, zatapiając go w ciągu kwadrans. Załodze się poszczęściło, została uratowana po 18 godzinach dryfowania na trawie pneumatycznej.

Bardziej katastroficzny epizod z orkami dotyczył jachtu „Surprise” włoskiego żeglarza Ambrogia Fogara. Po 74 dniach dwóch rozbitków wyłowili grecki statek, na którego pokładzie zmarł współtowarzysz skippera.

Kroniki donoszą, że swego czasu na wodach Nowej Zelandii rozpędzona do 40 km/h, ważąca siedem ton orka, samiec, niczym torpeda uderzyła w kuter rybacki, którego śruba zraniła wcześniej jego towarzyszkę. Z powodu wielkiej dziury w burcie grubości 70 mm kuter szybko poszedł na dno.



JACEK PAŁKIEWICZ
„PALKIEWICZ.COM”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2020

Inna szokująca historia dotyczy sześciuosobowej rodziny Robertsonów, odbywającej okołoziemską podróż na 13-metrowym szkunerze „Lucette”. W odległości 1 tys. mil od brzegów Kostaryki jacht został zatopiony przez zabójcze orki. Rozbitkowie znaleźli się początkowo na tratwie pneumatycznej, a po jej uszkodzeniu – na trzymetrowym bączku. Zostali uratowani przez japońskich rybaków po 38-dniowej odyssey. Przetrwali, nie mając żadnej pewności, czy ktokolwiek ich szuka. Ich walka o życie może stanowić wzór męstwa i wygranej z bezlitosnym oceanem.

Niektórzy specjaliści twierdzą, że agresywne zachowanie tych towarzyskich z natury waleni może być konsekwencją stresu wynikającego ze zniszczenia przez człowieka morskiego ekosystemu, intensywnych i masowych połowów tuńczyka, głównego źródła ich utrzymania podczas tranzytu w cieplejszych morzach, albo też dezorientacji ze względu na zbyt intensywny wzrost ruchu morskiego.

Dużo strachu przeżyłem też, kiedy podpłynął wieloryb dwa razy większy od mojej łodzi. Mówi się, że są one niezwykle spokojne i nie atakują jednostek pływających. Jednak zdarzają się wyjątki. W 1973 r. dotknęło to brytyjskie małżeństw Maurice i Maralyn Bailey, odbywające podróż dookoła świata. Dwieście pięćdziesiąt mil od wysp Galapagos rzucił się na nich kaszalot, którego kilka godzin wcześniej zranili marynarze ze statku wielorybniczego. Nieszczęśnicy zdążyli się ewakuować na tratwę ratunkową, na której spędzili 117 dni. Patryli bezsilnie, jak siedem statków minęło ich, nie zauważwszy tratwy. Przeżyli dzięki częstym deszczom, obfitości ryb i żółwi, które łowili prowizorycznym harpunem, oraz schwytanym ptakom, a ponadto determinacji i niezłomnej wierzze w przetrwanie. Swój dramat, sięgający najgłębiej ukrytych ludzkich instynktów przetrwania, opisali w książce „117 dni na

łascie oceanu”. To opowieść o cierpieniu, przerażeniu, ponadczasowym heroizmie, nadziei oraz przeżyciu i kolejny dowód na to, że każdego człowieka wystawionego na ciężką próbę stać na przekroczenie własnych barier psychicznych.

CZŁOWIEK KONTRA SZTORM

Na morzu wcześniej czy później można spodziewać się sztormu. Nie ominął i mnie. W krótkim czasie rozpełtało się piekło. Ściany wody zwały się na szalupę, miotając ją na lewo i na prawo, a bryzgi smagały po twarzy. Byłem odcięty od świata, nie jadłem, nie spałem, trząsałem się z zimna i ze strachu. Z każdym dniem ubywało mi sił. Bałem się, że mogę upaść na duchu, stracić instynkt samozachowawczy. Niewiarygodnym wysiłkiem zmuszałem się do trwania. Wspierał mnie opisany przez Gabriela Garcíę Marqueza przykład heroicznej postawy i mocy ducha kolumbijskiego marynarza, który dryfował samotnie przez 10 dni na tratwie bez jedzenia i picia.

Czułem się bardzo osamotniony. Szuukałem nadziei i otuchy u Stwórcy, bo wiara w krytycznych momentach wzmacnia morale. Modliłem się, żeby się nie poddać, nie stracić nadziei i nie zwątpić. Słowa, które wiele lat później miałem usłyszeć od Jana Pawła II. Nie poddałem się, kiedy napotkany statek zaofiarował mi bezpieczeństwo, suchą koję, ciepły posiłek i gwarancję powrotu do domu. To „nie” przy burcie statku uznaję za najwartościowszą lekcję i największy sukces swojego życia.

Kilka lat temu porwał mnie niesamowity, wstrząsający do bólu realistyczny film „Wszystko stracone”, z Robertem Redfordem w roli jedyne go aktora. To surowy dramat o samotnym żeglarzu, który po zderzeniu z zagubionym na morzu kontenerem desperacko walczy z bezlitosnym sztormem, po czym ludzka wola przetrwania wystawiona jest jeszcze na heroiczne zmaganie o egzystencję.

Przeżycia bohatera filmu w pełni odnosi się do mojego doświadczenia sprzed prawie pół wieku, które zahartowało mnie fizycznie i moralnie. Nie mówiąc, że moja samotna żegluga stała się źródłem refleksji dotyczących mizerności i ulotności życia. Była też wędrówką w głąb siebie, rozważaniem o samotności i zagubieniu, niepewności, rezygnacji i nadziei.